

Maria Peplińska

www.wartkaakcja.pl

Wszystkie prawa zastrzeżone. Zabrania się zmieniać, kopiować i w jakikolwiek sposób wykorzystywać utwór bez zgody autora.

Udanej lektury!

## Prawo zbrodni

W gabinecie prokuratora panuje gorąc i zaduch. A może tylko tak mi się zdaje? Poluzowuję krawat i odpinam górny guzik kołnierzyka koszuli, jednak nic to nie zmienia. Wciąż się pocę. Unoszę głowę. Natarczywe spojrzenie oskarżyciela, Thomasa Mortego, sprawia, że z powrotem opuszczam wzrok na tarczę rolexa. Prezent, który dostałem od żony na piątą rocznicę ślubu, wygląda dość groteskowo w zestawieniu z elektrokajdankami. W pewnym momencie drzwi otwierają się i do pomieszczenia wchodzi John Willoby, mój prawnik.

– No, to teraz jesteśmy w komplecie – stwierdza prokurator, a jego bioniczna soczewka uruchamia ciekłokrystaliczny monitor. Kolejne mrugnięcie i na ekranie pojawia się moja twarz.

– Kirk Dobbs. Czterdzieści dwa lata. Dyrektor działu operacyjnego Corpus Inc. – Głos Mortego jest nieznośnie monotony. – Jest pan żonaty od ośmiu lat z Lucią Ferres, mieszkacie w kompleksie Tomston należącym do korporacji i nie macie dzieci. Czy do tej pory wszystko się zgadza?

Przytakuję.

– Wie pan dlaczego tu jest? – pyta i nie czekając na moją odpowiedź, kontynuuje. – Został pan zatrzymany pod zarzutem morderstwa Angeliki Stern, swojej asystentki. Ciało znalazła sprzątaczką, dziś koło godziny siedemnastej. Dziewczynę uduszono kablem od monitora – mówi wyświetlając zdjęcie drobnej, uśmiechniętej brunetki. – Zgodnie z obliczeniami dokonanyimi przez Instytut Prawa i Zbrodni, prawdopodobieństwo, że to pan jest sprawcą, wynosi dziewięćdziesiąt osiem, przecinek dwa procent. Na mój wniosek, sąd wydał nakaz zgrania informacji z pańskich chipów. Obejmuje on okres między szesnastą czterdzieści pięć,

a siedemnastą dwadzieścia dwie dnia dzisiejszego. Zgodnie z procedurami, technik kryminalistyki, podłączy panu teraz interface. Czy ma pan do mnie jakieś pytania?

– Nie – mówię, marząc jedynie o tym, żeby opuścić to przeklęte miejsce i móc zapalić papierosa. Niestety, kolejna fajka tego dnia sprawi, że moja składka na ubezpieczenie zdrowotne gwałtownie wzrośnie. Przeklęty biochip! Tylko czyha, żeby zarejestrować zwiększony poziom nikotyny w moim organizmie i wystawić słony rachunek.

– Doskonale. – Na twarz prokuratora wypęła leniwy uśmiech, gdy technik podłącza się do portu zlokalizowanego za uchem. Biorę głęboki wdech. Czemu jest tu tak piekielnie gorąco?

– Zanim zaczniemy, muszę jeszcze pana poinformować, że będę wnioskował o najwyższy, pięcioletni wymiar kary. Dziewczyna była młoda i stanowiła dla Corpus Inc. perspektywiczny nabytek – mówi, ale przestaję go słuchać. Skupiam się na oddechu.

\*\*\*

Trzy godziny wcześniej.

Podchodzę do windy i wduszam przycisk przywołujący. Robię to raz, a potem kolejny i kolejny. Nie panikuj Kirk, upominam się w duchu. Grupie Colombos można zaufać. Co prawda twierdzą, że walczą z systemem, a nie dla pieniędzy, ale to gówno prawda. Wszystkim zależy na kasie.

Nie mija piętnaście sekund i metalowe drzwi otwierają się. Robię krok w przód i wybieram zero na wyświetlaczu, a następnie sięgam do kieszeni marynarki i wyciągam z niej paczkę fajek. Muszę zapalić. Uspokoić się. Obracam kartonik w dłoni gdy winda zatrzymuje się na drugim piętrze, a do środka wsiada młody mężczyzna. Jeszcze tylko jego mi tu brakowało, myślę, gdy wybiera na LCD poziom minus trzy. Co u licha chce robić w serwerowni w piątek po południu?

Kiedy wreszcie zjeżdżamy na pater, mruczę pod nosem coś, co na upartego można by uznać za do widzenia i ruszam do wyjścia. Ktoś z Colombos ma czekać na mnie na parkingu. Po drodze zapalam papierosa i z lubością zaciągam się dymem. Napięcie trochę odpuszcza. Cholera. Ale się porobiło. Czy ona naprawdę myślała, że zostawię dla niej swoją żonę, córkę prezesa Corpus Inc.? Niedoczekanie. Natłok myśli przerywa pojawienie się białego minivana.

– Zgaś to gówno i włącz – mówi młoda Azjatka, przeszywając mnie spojrzeniem swoich czarnych oczu. Ubrana w skórzaną kurtkę i motocyklowe buty, skrywa twarz pod czerwoną bandaną. Posłusznie gaszę papierosa i wsiamam.

– Jestem Kirk, a ty?

– Nie musisz wiedzieć. – Odpowiada obcesowo, by po chwili złagodzić. – Możesz mi mówić Mara.

Coś mi mówi, że to nie jest jej prawdziwe imię, ale dobra, niech będzie.

– Dokąd jedziemy? – pytam, ale dziewczyna nie odpowiada. Widocznie nie mam wiedzieć. Po chwili milczenia Mara spogląda na wyświetlacz zainstalowany na szczupłym nadgarstku.

– No, masz szczęście, że wpłaciłeś kasę.

– Jeśli tego pożałuję, ty również – mówię, bo zaczyna mnie wkurzać.

Dziewczyna przekrzywia lekko głowę.

– Wiesz co Kirk? – pyta. – Zabawny jesteś.

Chcę coś powiedzieć, ale w tym momencie minivan zatrzymuje się. Mara otwiera drzwi i lekko zeskakuje na ziemię. Podążam za jej przykładem. Próbuję zorientować się gdzie przyjechaliśmy, ale kompletnie nie kojarzę tego miejsca. Nic dziwnego. W końcu mieszkam w eleganckiej części miasta należącej do korporacji. Idziemy w kierunku jakiegoś pustostanu, a po zapachu wyczuwam, że gdzieś niedaleko, musi znajdować się chińska knajpa. Zaczyna burczeć mi w brzuchu.

– Zjesz po zabiegu – mówi Mara ruszając do wejścia. Idąc za nią, kątem oka, dostrzegam narkomanów stłoczonych w wąskiej uliczce. Ich ciała są przeraźliwie chude i brudne, a w oczach dawno już zgasła ostatnia iskra człowieczeństwa. Tak się kończy uzależnienie od neurodopalaczy.

– Masz ochotę dołączyć do podludzi, czy wchodzisz? – pyta dziewczyna otwierając drzwi.

– Wchodzę – odpowiadam przechodząc przez próg.

W środku, do moich nozdrzy, dolatuje woń przegrzanych rezystorów, płynu do dezynfekcji i ludzkiej krwi. W ustach czuje jej metaliczny posmak, a żołądek podjeżdża mi do gardła, gdy spoglądam na stół operacyjny, na którym leży facet z wywalonymi bebechami.

– “Jastrzębiego szponu” ani smart-broni nie wszczępią ci w prywatnej klinice – mówi Mara, gdy przystaję, by spojrzeć jak chirurg sprawnym ruchem jednej ręki, umieszcza w ciele pacjenta złącza, podczas gdy w drugiej trzyma nadpalonego papierosa. – No chodź – ponagła. Idę za nią i nie przestaję się rozglądać. W pewnym momencie dostrzegam pacjenta, z którego nóg poniżej kolan wystają kawałki jakiegoś metalu. Może tytanu?

– Wszedł na minę – mówi dziewczyna, zaciągając prowizoryczną zasłonę, by dać mężczyźnie trochę prywatności. Mijamy jeszcze czterech innych nieszczęśników i docieramy do niewielkiego gabinetu.

– Jesteśmy – Mara wchodzi do środka jako pierwsza.

– Zapraszam na fotel – Z półcienia wyłania się mężczyzna, którego wiek ciężko mi określić. Jest niski i krępy, a w jego rękach dostrzegam czerwoną papierową tackę upstrzoną złotymi gwiazdkami, na której leżą chińskie pierożki. Siadam na fotelu, który pamięta poprzednie stulecie i wzdrygam się, czując jak tłuste palce zaczynają grzebać przy porcie znajdującym się za moim uchem. Na próżno miałem nadzieję, że facet przed zabiegiem umyje ręce.

– To zajmie chwilę – Uspokaja mnie i zapala lampę. Ostre światło jarzeniówki sprawia, że oczy zaczynają mi łzawić. Mężczyzna pochyla się nade mną i do moich nozdrzy dociera kwaśny zapach jego potu. Chcę coś powiedzieć, ale nagły ból uświadamia mi, że właśnie dostałem znieczulenie. Moje powieki robią się ciężkie i po chwili odpływam.

\*\*\*

Gabinet prokuratora, trzy godziny później.

– Gotowi na analizę? – pyta Morty, gdy dane z chipów wyświetlają się na monitorze.

– Jasne – mówię. Willoby przytakuje skinieniem głowy.

– Skoreluj z geolokalizatorem – nakazuje Thomas maszynie i po chwili widzimy hologram wnętrza budynku i zieloną kropkę, która symbolizuje moją osobę. Zegar na dole ekranu wyświetla szesnastą czterdzieści cztery.

– Mieliśmy zacząć od szesnastej czterdzieści pięć – wtrąca mój prawnik.

– Oczywiście – Głos oskarżyciela twardnieje, ale posłusznie przestawia godzinę.

Kiedy ponownie przenoszę wzrok na monitor, widzę, jak zielona kropka opuszcza gabinet i podąża w stronę wind. Zamykam oczy i wypuszczam nagromadzone w płucach powietrze. Colombos dobrze wykonało swoją robotę.

– Po co pojechał pan do serwerowni? – Głos prokuratora wyrywa mnie z zamyślenia, ale zanim zdążę coś powiedzieć, unosi palec i nakazuje milczenie. Widocznie porozumiewa się z kimś za pomocą nadajnika. Kiedy kończy rozmowę, jego twarz przybiera nieodgadniony wyraz.

– Ja... – zaczynam.

– Proszę się nie kłopotać – przerywa mi. – Właśnie się dowiedziałem, że z Corpus Inc, zostały skradzione dane, a morderca Angeliki sam zgłosił się na policję. Nie oskarżę pana o zabójstwo, panie Dobbs. Oskarżę pana o szpiegostwo przemysłowe!

– Ale... – Czuję, że zaczyna brakować mi powietrza.

– Mam nadzieję, że jest pan świadomy, że w związku z tą zmianą, grozi panu dożywocie w kolonii karnej? Do więzienia idzie się za drobne przewinienie, nie za kradzież danych.

– To pomyłka! – krzyczę.

– Nie wydaje mi się ... – w głosie Mortego słyszę znużenie.

– Ja niczego nie ukradłem!

– Niech pan spojrzy na ekran – prosi Willoby.

Przenoszę wzrok na monitor. Zielona kropka, którą jestem, znajduje się na poziomie minus trzy. Minus trzy... Nagle w mojej głowie pojawia się wspomnienie chłopaka.

– Ożeż kur ... – zacinam się, gdy zdaję sobie sprawę, z tego co się stało. – Wrobili mnie!

– Co takiego? – John patrzy na mnie zdezorientowanym wzrokiem.

– Zamordowałem Angelikę, bo chciała żebym odszedł od żony – tłumaczę mu. – Nie mogłem tego zrobić, bo Felicia jest córką prezesa. Gdybym ją zostawił, moja kariera ległaby w gruzach... Ja... Ja tylko zamordowałem swoją asystentkę, John! Niczego nie ukradłem! Przysięgam!

– Ja już mam mordercę, panie Dobbs. – mówi Morty. – Neurodopalaczowy ćpun sam zgłosił się na policję.

– Niech mi panu uwierzy! – Proszę go. – Zamordowałem dziewczynę i zapaliłem papierosa! To wszystko! Nie jestem winny kradzieży danych!

– Panie Dobbs... Naprawdę pan myśli, że uwierzę, że taka ładna dziewczyna jak Angelika, miała romans z kimś takim jak pan? – Na twarz Mortego wypływa szydery uśmiech, po czym prokurator przywołuje policjantów. – Proszę zabrać pana do aresztu – mówi wychodząc z gabinetu i nie zważając na moje protesty.

\*\*\*

Sześć lat później.

Kiedy przedwcześnie opuszczam kolonię karną, nie czuję satysfakcji. Tak właściwie to nic nie czuję. Pobyt w tym miejscu, wyzuł mnie ze wszystkich uczuć. No może prawie wszystkich. Została mi tylko nienawiść... Sięgam do kieszeni marynarki, którą oddano mi razem z innymi moimi rzeczami i wyciągam z niej pomietą paczkę fajek. Nie martwię się już ubezpieczeniem zdrowotnym. Skazańcy i tak nie mają do niego prawa. Zapalam papierosa moim nowym nabytkiem z kolonii i zaciągam się dymem. Ręce przestają mi drżeć.

– Zapalniczka w kciuku? – pyta John.

– Mi też miło cię widzieć – mówię. – Jak ci się udało załatwić mi krótsza odsiadkę?

– Przez to – odpowiada wskazując ruchem głowy na papierosa.

– Nie pierdol!

Willoby krzywi się słysząc z moich ust przekleństwo. Wcale mu się nie dziwię. Kiedyś nie przeklinałem. Ale kiedyś nie robiłem też wielu innych rzeczy.

– Po twoim skazaniu długo zastanawiałem się nad tym, co powiedziałaś prokuratorowi. O tym, że po zabójstwie zapaliłaś papierosa. Postanowiłem sprawdzić twoje dane biomedyczne. Biochip wychwytyje przecież każde podwyższone stężenie nikotyny we krwi. Tym razem było tak samo. Kiedy nałożyłam na biochip siatkę czasową i dane geolokalizacyjne okazało się, że musiałbyś palić będąc w serwerowni, a to jak wiemy jest niemożliwe. Dym z papierosa uruchomiłby czujniki, a nic takiego nie miało miejsca. Przykro mi tylko, że procedury trwały tak długo. Wiesz jak jest... Kolonie karną opuszcza się w trumnie.

– Odsiedziałem więcej niż za zabójstwo...

– Nie spodziewaj się odszkodowania z tego tytułu – mówi John, gdy idziemy do jego auta. –  
Podwieź cię gdzieś?

– Znasz taką chińską knajpę w której jedzenie podają na czerwonych papierowych tackach  
upstrzonych złotymi gwiazdkami?

– Masz ochotę na chińszczyznę? – spogląda na mnie zdumionym wzrokiem.

– Nie ważne, podwieź mnie do centrum – mówię wsuwając dłonie w rękawy marynarki. Nie  
chcę, żeby zobaczył gojący się jeszcze fragment, mojego cyberramienia. Nie musi wiedzieć,  
że w trakcie odsiadki dałem sobie zainstalować pełnowymiarowy miotacz ognia, a nie tylko  
zapalniczkę. Nie musi również wiedzieć, że z końcem mojego pobytu w kolonii karnej, zacznę  
szukać ludzi z Colombos, a tacka z chińskiej restauracji jest póki co jedynym tropem jaki  
mam. Willoby nie musi też wiedzieć co zrobię z dziewczyną o imieniu Mara. Facet jest w  
końcu prawnikiem. Dobrym prawnikiem. I może jeszcze na coś mi się przyda.

KONIEC